

MAROBET

Robert spoglądał z góry na dolinę okrytą welonem mgły. Poranne opary wypełniły po brzegi tokańską Val d'Elsa. Tu i ówdzie majaczyły zielone wyspy, tonące wolno w skłębionej bieli.

Franciszkanin, z którym przegadał całą noc, zaprowadził go o świcie na jedną z czternastu wież miasteczka San Gimignano. Strzeliste iglice spinały niebo, ziemię i morze mgieł — trzy żywioły niczym barwne skrawki tkanin, pozszywane z woli Boga ludzkimi rękami.

Robert — jak na angielskiego emigranta przystało — z rozrzwinięciem obserwował zamgloną dolinę. Pagórek, na którym leżało San Gimignano, przypominał teraz wyspę. Anglik czuł się jak u siebie w domu; powietrze było wilgotne, a mokry bezmiar oddzielał go od reszty świata. Zamiast fal burzyły się w dole zwiewne opary, ale mniejsza o szczegóły...

— Nie bądźmy drobiazgowi — powiedział do swego cicerone w brunatnym habicie, wracając do przerwanej rozmowy. — Przecież nie namawiam brata, by został sybarytą i gonił za przyjemnościami. Obstawę jednak przy swoim zdaniu; należy się cieszyć każdą chwilą, najmniejszym drobiazgiem. Uśmiech zadowolenia nie wyklucza świętości. Wiem, że wkrótce jedzie brat do Rzymu. Proszę odwiedzić kościół Santa Maria della Vittoria i popatrzeć na rozpromienioną twarz anioła obserwującego świętą Teresę z Avila ugodzoną strzałą Bożej miłości. Bernini rozumiał, w czym rzecz. Zachwył na obliczu karmelitanki sprawia przyjemność aniołowi, istocie stanowiącej kwintesencję świętości. Biorę przykład z mieszkańców niebios i z zadowoleniem patrzę, jak moja żona głaszcze kota. Oboje wydają się bardzo szczęśliwi. Takie niewinne przyjemności sprawiają, że przybywa w nas dobra. Ilekroć odczuwam radość, gotów jestem bez przymusu nakarmić głodnego, podać spragnionemu kubek zimnej wody lub ofiarować parę groszy żebrakowi... nawet jeżeli nieszczęśnik śmierdzi. Czemu brat wytyka mi hedonistyczne nastawienie do życia, skoro przyjemność czyni mnie lepszym? Nie mam talentu do męczeństwa, wyrzeczeń i dramatycznych gestów. Wolę brać przykład z mego kota i wylegiwać się na słońcu.

— Ho, ho! To musi być niezwykle stworzenie. Już po raz drugi pan o nim wspomina — wtrącił żartobliwie zakonnik.

— Trafił brat w dziesiątkę. Niepozorne zwierzątko otwiera nam oczy na wiele spraw. Mary często powtarza, że na stare lata sporo się od niego nauczyła. Trochę nas martwi, że w Italii Toffee nie jest sobą. Zmarkotniał. Przedtem był hałaśliwy, wesoły i psotny. Nadal często miauczy, ale nie dowoduje jak dawniej. Może winne są upały? Przywykł do niższych temperatur. Z czasem się chyba zaaklimatyzuje.

Mgła powoli rzedła. Słońce weszło ogrzewając powietrze; wirujące kłęby mlecznej bieli znikwały jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Duchowny zaprosił Roberta do siebie na poranną kawę. Gość miał wnet ruszyć do domu wąską krętą drogą — po zarwanej nocy! Franciszkanin nie chciał go mieć na sumieniu.

* * *

Robert jechał na południe. W połowie drogi między San Gimignano a Sieną leżała nieco zaniedbana winnica, a za nią stary dom wzniesiony z kamienia i kryty czerwoną dachówką. Przed kilkoma miesiącami osiadło tam angielskie małżeństwo. Oboje szybko przywykli do klimatu i obyczajów Toskanii, ale ich kot nadal snuł się bez celu po obszernej posiadłości — wciąż markotny i apatyczny. Robert martwił się o ulubieńca.

Droga była pusta. Samochód jechał szybko mijając pola kwitnących słoneczników, zielone łąki, płowe łąny zbóż. Samotne cyprysy oraz kępy drzew wabiły oczy ciemną zielenią. Robert skręcił w boczną drogę. Stare pędy winorośli rozpięły nad autem cienisty baldachim. Mężczyzna szukał wzrokiem znajomej sylwetki. Toffee wyczuwał obecność ulubionego człowieka i wychodził mu naprzeciw. Siadał na obrośniętym pnączami kamieniu w połowie drogi do willi i czekał.

Kot nadstawił ucha, słysząc z daleka charakterystyczny odgłos silnika. Zwinne ciało pokryte białym futrem sprężyło się jakby do skoku, a szyja przez chwilę była długa niczym u gęsi. Niebieskie oczy dostrzegły turkusowego volkswagena. Wkrótce auto stanęło przy głazie. Robert przechylił się na bok, by otworzyć drzwi od strony pasażera.

— Dobry kotek. Wskakuj.

Toffee nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Zajął miejsce obok kierowcy, owinął łapki puszystym ogonem i z nadzieją popatrzył na człowieka.

— Pan nie zapomniał o kocurku — rzucił czule Anglik. — Mam w bagażniku pyszne jedzonko.

— Robercie, kiedy wrócimy do Marobet? — zapytał kot.

— Wiem, wiem, łakomczuszku. Cieszysz się, że przywiozłem ci smakołyki. Pamiętaj, że nie wolno bez przerwy jeść, bo wkrótce będziesz obrzydliwym tłusciochem.

— Robercie! Pytałem, kiedy wrócimy do Marobet — miauknęła rozpaczliwie Toffee.

— Kochane stworzonko! Jesteś wyjątkowo mądrym kotem — odparł Robert. Zaczął wesoło podśpiewywać. Lubił wracać do domu.

Mary powitała go przy kamiennej szopie służącej za garaż.

— Jak dawałaś sobie radę, kiedy mnie nie było?

— Bez obaw! Nie spaliłam willi — oznajmiła pogodnie szczupła siwowłosa pani. Robert ze stoickim spokojem znosił wszelkie domowe katastrofy. Mary daremnie próbowała zapanować nad roztargnieniem. Obca jej była rozwaga i trzeźwość umysłu. Miała za to poczucie humoru, bujną wyobraźnię i dar konwersacji. Robert nie nudził się w jej towarzystwie.

Ramię przy ramieniu szli ku domowi. Biały kot płatał im się pod nogami. Cała trójka zjadła obfite angielskie śniadanie. Kontynentalne przekąski budziły święte oburzenie Mary oraz jej męża. Toffee również był zwolennikiem wczesnych i obfitych posiłków. Z apetytem pałaszował kupione przez Roberta smakołyki. Po śniadaniu zamierzał uciąć sobie drzemkę.

Oderwał się w końcu od miski, wychleptał trochę wody i ruszył do ogrodu. Ułożył się w kępie wysokiej trawy, której Robert nie skosił, bo Toffee miał tam ulubioną kryjówkę.

Anglicy dokładali starań, by kot polubił toskańską posiadłość. Chcieli zostać tam po kres swoich dni. Wyczuwali jednak, że ulubieniec nadal tęskni za Marobet. Tak się nazywała ich angielska willa; złożone sylaby dwu imion dały nazwę wspólnego domu.

Toffee drzemał zwinięty w kłębek. We śnie powracał do Marobet. Biegał po obszernych pokojach rozświetlonych bladym angielskim słońcem. Odczuwał lęk. Powód był zawsze ten sam: daremnie szukał w opuszczonej willi ukochanych ludzi. Mary i Robert nie wracali do przeszłości. Woleli cieszyć się chwilą w zielonkawym cieniu toskańskiej winnicy.

Tego dnia biały kot wyczuł obecność intruza w sennym Marobet. Na sztywnych łapach wkroczył do salonu, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Stał na środku pokoju. Ktoś siedział w fotelu ustawionym przy kominku. Toffee dostrzegł między drewnianymi nogami szczupłe łydki w pomarańczowych spodniach.

— Podejdź bliżej, kocie-braciszku — rozległ się władczy kobiecy głos.

Toffee stulił uszy. Kto śmie wydawać mu polecenia? I to w Marobet, gdzie powrócił na moment dzięki sile woli i tęsknoty! Obszedł fotel i wskoczył na marmurowy parapet kominka. Odruchowo przybrał pozę urokliwej porcelanowej figurynki. Zerknął na nieznajomą.

W fotelu siedziała kobieta–kot. Nosiła pomarańczowy garnitur z połyskliwego jedwabiu. Na wysokości ramion istota ludzka przekształcała się w dorodną czarną kotkę. Prawa ręka okryta jaskrawą tkaniną spoczywała swobodnie wzdłuż boku; lewa porośnięta krótką ciemną sierścią dotykała łokciem poręczy fotela. Gest wydawał się ludzki, ale na miękkiej łapce spoczywała głowa kotki. Niepokojący uśmieszek był koci i kobiecy zarazem.

— Co sądzisz o takim połączeniu, braciszku? Nie mogę się zdecydować, którą postać wolę, dlatego przybieram obie.

— Kim jesteś? Co robisz w moim domu? — Kot wpatrywał się jak urzeczony w dwoistą postać nieznajomej.

— To już nie jest twój dom. Osiedła tu nowa rodzina — stwierdziła z irytacją. — Kim jestem? Też pytanie! Nie poznajesz? Sam mnie wezwałeś, niewdzięczny prostaku. Teraz rozumiem, czemu tak donośnie brzmiała mi w uszach twoja skarga. Głupcy zawsze jęczą najgłośniej. Potrafisz tylko skamleć jak pies, by ktoś cię zabrał do Marobet. Kocie małej wiary, przybyłam ci na ratunek. Powitaj mnie jak należy! Wiesz już, kim jestem? Nie? Co się dzieje na tym padole? Przecież świadomość mego istnienia powinienes wyssać z mlekiem matki. Kto cię wykarmił?

— Mary... Pipetką! — pisał wystraszony Toffee. Domyślał się, na kogo spogląda z wysokości kominka.

W fotelu siedziała Pani Kotów z południa. Gdy był ślepym i bezradnym maleństwem, wiatr śpiewał mu o niej kołysanki.

— Chcę wrócić do Marobet — oznajmił płacziwie. Zeskoczył na podłogę i usiadł zwieszając nisko łebek.

Kobieta–kotka pochyliła się do przodu. Dotknęła podłogi ludzką dłonią i kocią łapą. Pomarańczowy jedwab zgasł pod czarnym futrem, a dwoista Pani skurczyła się do rozmiarów szczupłego czarnego zwierzątka o długich nogach i spiczastych uszach. Między złotymi ślepiami widniała niewielka biała plamka. Jasny pędzelek na czubku ogona sprawiał, że kotka wyglądała jak negatyw gronostaja.

— Niełatwo będzie spełnić twoją prośbę, ale spróbuję. Musisz we mnie wierzyć. To dodaje sił. Nie zawiodłam dotąd żadnego kota. — Obrzuciła Toffee’ego badawczym spojrzeniem i nagle zmieniła temat. — Jesteś kastratem?

Biały kot przytaknął. Czarna kotka mruknęła:

— Szkoda.

Podeszła do wielkiego okna zajmującego całą ścianę salonu. Popatrzyła na angielski ogród. Kępy roślin kwitnących z pozoru bezładnie tworzyły labirynt o zmiennej kolorystyce.

— Wyjdźmy do ogrodu. Chciałabym się tam pobawić. Mam na imię... Mów do mnie Bessie.

Dwa koty dokazywały, aż zmogło je angielskie powietrze i silna woń kwiatów. Drzemały zwinięte w biało–czarny kłębek. Śniła im się upalna Toskania.

* * *

Następnego ranka przed willę Anglików zajechało małe czarne auto. Wsiadła z niego drobna kobieta w garniturze z pomarańczowego jedwabiu. Miała bladą cerę i bardzo jasne włosy ścięte na wysokości płatków uszu i zaczesane do tyłu. Energicznie zatrzasnęła drzwiczki i podeszła do stojącej w porę Mary.

— Jestem Bessie. Pamiętasz mnie? — zapytała półgłosem.

— Bessie? Bessie? — powtórzyła z wahaniem siwowłosa pani. Spoglądała jak urzeczona w żółte ślepia rozmówczyni. — Egipt? Tam cię poznałam. Kuzynka Bessie!

Kobieta w pomarańczowym garniturze wybuchnęła śmiechem.

— Wiedziałam, że nie zapomnisz o naszym spotkaniu. Rzadko wówczas rozmawialiśmy, ale chętnie mi się przyglądałaś.

Bessie... Przed laty Mary i Robert istotnie odwiedzili Egipt na zaproszenie dalekiej kuzynki, która przebywała tam na stypendium. Bessie? Tak zapewne miała na imię. Z minuty na minutę Mary utwierdzała się w przekonaniu, że łączy ją z gościem bliskie pokrewieństwo. Weszły do domu. Przywołany z ogrodu Robert po chwili wahania uległ sile sugestii roześmianych kobiet. Bessie lekceważącym gestem zbyła jego próby ustalenia rodzinnych koneksji.

— Daj spokój, mój drogi. Nie mam głowy do genealogii. Rodzina to rodzina.

Robert skwapliwie przyznał jej rację. Bessie nagrodziła go za to promiennym uśmiechem. Wkrótce usiedli do śniadania. Uradowani wizytą gospodarze opowiadali Bessie rozmaite ciekawostki dotyczące ich toskańskiej posiadłości.

— A jak się tu czuje Toffee, wasz kot?

— Skąd wiesz, że mamy kota? Nie widzieliśmy się od lat — mruknął Robert. Jego twarz przybrała wyraz podejrzliwości.

— Sam mi o tym powiedziałeś — odparła półgłosem i spojrzała mu prosto w oczy.

— Tak... Chyba wspomniałem o kocie. — Roziskrzzone złotem oczy kuzynki wspomogły zmaconą pamięć Anglika. — Wiesz, że jest całkiem biały?

— Tak. — Bessie odsunęła talerz, oparła łokcie o brzeg stołu i rzekła z powagą: — Toffee mówi, że nie jest tu szczęśliwy. Tęskni za Marobet. Bywa tam we śnie, ale to żadna pociecha, bo daremnie szuka was obojga. Nie wracacie do przeszłości.

— Jak Toffee mógł z tobą rozmawiać? — wtrąciła nieufnie Mary. Zamrugała powiekami, jakby nagle przejrzała na oczy. Bessie musnęła dłonią pomarszczony policzek. Siwowłosa kobieta natychmiast odzyskała spokój.

— Naprawdę rozmawiałam z waszym kotem. Jest przygnębiony. Nie umie się tutaj odnaleźć.

— Mamy wrócić do Anglii? — zapytała z pokorą Mary.

— To nie będzie konieczne — odparła skwapliwie Bessie. — Zresztą nie macie już do czego wracać. Marobet przeszło w cudze ręce. Dom się zmienił. Pozostała tylko nazwa. Czemu nie zabraliście jej ze sobą?

— Przez niedopatrzenie — mruknął Robert. — A może z tęsknoty za nowym życiem i całkowitą zmianą? Nie jesteśmy sentymentalni.

— Szkoda. Toffee rozumuje inaczej. Mniejsza z tym. Zrobię, co w mojej mocy. Uratuję waszego kota. Nie pozwolę, by zmarniał pod toskańskim niebem.

Po śniadaniu Mary zaprowadziła kuzynkę do pokoju gościnnego i pomogła jej rozpakować walizkę. Zeszła do winnicy, gdzie Robert przygotował zimne napoje. Bessie została, by się przebrać. Włożyła długą białą suknię, lekką niczym mgła. Ramiona okryła wielkim szalem, pomarańczowym jak rzymskie flammeum. Uśmiechnęła się do odbicia w lustrze i wybiegła z pokoju.

Długo siedzieli przy drewnianym stole, leniwie sącząc koktajle. Było upalnie. Rozmowa się nie kleiła. Wczesnym popołudniem Bessie zwinęła się w kłębek na obszernym wiklinowym fotelu. Przymknęła oczy. Wkrótce nadszedł Toffee. Wskoczył jej na kolana i ułożył się w fałdach pomarańczowego szala.

— Wrócimy do Marobet? — mruknął z nadzieją.

— Tak. — Powieki ciążyły Bessie jak ołów.

Dwa koty ruszyły sennymi drogami. Wkrótce dokazywały już w bezludnym angielskim domu. Zabawa nie trwała długo. Toffee zmarkotniał. We śnie odzyskał swoje miejsce na ziemi, ale brakowało mu Roberta i Mary. Ułożył się w fotelu ustawionym obok kominka i przymknął oczy.

Śnił o swych opiekunach spacerujących między krzewami winorośli. W półcieniu kwitły wonne zioła. Toffee odkrył świeżo posadzoną kocią miętę. W ogrodzie Marobet nie było takich atrakcji.

Bessie czuwała w angielskim salonie. Siedziała bez ruchu na wysokim oparciu fotela, obserwując uśpionego kocurka. Planowała kolejne posunięcia. Musiała zwalczyć ludzkie i kocie uprzedzenia, a także uchwycić istotę Marobet. Od pary Anglików mało się dowiedziała, chociaż nieświadomie zdradzili jej wszystkie domowe sekrety.

Późnym popołudniem koty opuściły angielską posiadłość i przez bramę senu wróciły do Toskanii, by zdążyć na kolację. Nikogo z domowników nie dziwiło, że zmęczona upałem Bessie przespała całe popołudnie. Robert i Mary czuwali przy niej do zmierzchu. Spotkała ich za to miła niespodzianka; winnicę odwiedziła pod wieczór bardzo ufna kotka — filigranowa, czarna jak smoła, z białą kropką na czole i jasnym pędzelkiem na końcu ogona. Bawiła się z ludźmi jak beztrojski kociak. Bessie nie poznała uroczonego stworzonka; zniknęło wśród krzewów winnej latorośli, zanim się obudziła.

Bessie zwlekała. Czuła się zmęczona osobliwą egzystencją, którą prowadziła do tej pory. Przed wiekami odbierała cześć jako kobieta z głową kotki. Ludzkie ciało i serce, kocia głowa i rozum... jednocześnie przeciwieństw. Na co dzień jednak kierowała się egoizmem. Odwlekanie decyzji było jej na rękę.

— Dlaczego tak ci zależy na powrocie do Marobet? — zapytała następnego dnia, gdy oba koty spacerowały w cieniu winnicy.

— Kocham tamto miejsce.

— Co to znaczy kochać? — Złote ślepia rozjaśnił dziwny blask. Bessie nie kryła ciekawości. — Co się wtedy czuje?

— Tkliwość.

— Nie rozumiem!

— Ciepło. W środku... Robi się ciepło na sercu.

— Rozgrzewasz się myśląc o Marobet?

— W pewnym sensie.

— Wspaniale! — Bessie uznała problem białego kota za rozwiązany. — W takim razie zamiast rozpamiętywać przeszłość, otwórz szeroko te swoje niebieskie oczka i popatrz na winnicę. Powietrze drży od upału. Żar się z nieba leje, a ty mi zawracasz głowę paplaniną o chłodzie. Wygrzewaj się...

— Sierść będę miał ciepłą — przerwał Toffee — ale serce zimne. Jestem smutny i apatyczny. We śnie Marobet błędnie z dnia na dzień. Tamto prawdziwe zajęli inni ludzie. Tutaj... kamienny dom jest mi obcy. Gdyby nie przywiązanie do Mary i Roberta, uciekłbym stąd. — Obrzucił badawczym spojrzeniem czarną towarzyszkę dalekich i bliskich wędrówek. I dodał smutno: — Pani Kotów nie chce mi pomóc. Szuka teraz miejsca dla siebie. Nie szkodzi. Toffee nadal ją kocha.

Podszedł do Bessie i otarł się leciutko. Miała wrażenie, że musnął ją obłok chłodnej mgły. Pomimo upału mlecznobiałe futerko było nastroszone i zimne. Toffee spuścił łebek i powłókł się w głąb winnicy.

Bessie wróciła do ludzkiej postaci i pobiegła ku domowi. Zacisnęła dłonie, aż długie paznokcie wbiły się w skórę zostawiając czerwone półksiężyce, natychmiast podchodzące krwią.

Była wściekła.

Tego wieczoru bezczelnie kokietowała Roberta i rzucała Mary prowokujące spojrzenia. Szukała okazji do kłótni, ale siwowłosa kobieta ze stoickim spokojem znosiła jej wybryki.

Po kolacji Robert zniknął w gabinecie. Panie siedziały w milczeniu na werandzie. Pierwsza odezwała się Bessie.

— Gdyby Robert był nieco młodszy, pewnie bym go uwiodła — rzuciła z uśmiechem.

— Taki pomysł istotnie mógłby ci przyjść do głowy — odparła spokojnie Mary.

— Bez trudu postawiłabym na swoim.

— Nie sądzę.

— Wątpisz w mój urok?

— Nie. Sama jestem tobą oczarowana. Wiem, że kłamiesz jak z nut, ale chcę wierzyć w twoje kłamstwa. Dla mnie byłaś, jesteś i będziesz najmilszą kuzynką Bessie. A co do uwiedzenia Roberta... Nie sądzę, żebyś się na to zdobyła. Moim zdaniem podrywanie cudzych samców okropnie cię męczy i nudzi. To zbyt pospolite. Szósty zmysł mi podpowiada, że wcale nie jesteś lubieżną kotką. Uginasz się pod brzemieniem odpowiedzialności, a w uszach brzmi ci nieustannie skarga istot oczekujących wsparcia. Nic dziwnego, że nudzą cię banalne rozrywki.

— Skąd wiesz? — wykrztusiła Bessie.

— Odwiedziła mnie we śnie czarna kotka z białą kropką na czole i jasnym pędzelkiem na ogonku. Rozmawiałyśmy długo i szczerze. Biedactwo... Skarżyła się na samotność i wyczerpanie. Zaprosiłam ją do nas. Na zawsze.

— Nie pamiętam tego snu!

— Nocne wizje chowają się czasem za inne wspomnienia.

Mary wstała z fotela, podeszła do jasnowłosej kobiety i palcem zakreśliła kółko na jej czole. Pochyliła się, by pocałować to miejsce. Delikatnie pogłaskała ciepłą skórę za uchem. Bessie westchnęła i pochyliła głowę.

— Śliczna koteczka... Biedna Pani Kotów — szepnęła czule Mary. — Toffee również odwiedził mnie we śnie. Pomóż mu. Traci nadzieję i chęć do życia. Szkoda białego kotka. Wróćmy razem do Marobet... cokolwiek to oznacza. — Starsza pani uśmiechnęła się smutno i poszła do sypialni.

Bessie długo siedziała na ciemnej werandzie. Toffee nie zjawił się, by dotrzymać jej towarzystwa. O północy wyszła do ogrodu. Wśród krzewów winorośli odnalazła niewielkie herbarium oświetlone blaskiem księżyca. Zerwała garść kociej miętki i wróciła do domu. W kuchni rozarta w palcach świeże listki, zalała wrzątkiem i długo wdychała delikatną, słodką woń. Potem do rana krążyła po willi, podwórku i winnicy. Szeptala tajemnicze formułki w osobliwym języku, którym od wieków nikt już nie mówił.

Wczesnym rankiem obudziła domowników — z kotem włącznie. Zaprowadziła ich do ogrodu. Wśród krzewów winorośli odbyli tajną naradę.

— Znacie już wiele moich sekretów. Posiałam w waszych umysłach ziarno wiedzy — oznajmiła Bessie. — Przybyłam tu z otchłani wieków, by pomóc kotu. Znalazłam wyjście. Toffee odzyska radość życia, a wy nie będziecie musieli stąd wyjeżdżać. Marobet to wasze imiona. Nowe siedlisko powinno zostać nimi opieczętowane, by należało do was i białego kota. Poważną przeszkodę stanowi natura toskańskiego domu. To krnąbrny, sklerotyczny egoista! Rozmawiałam z nim tej nocy. Jakbym słyszała samą siebie! Postawię na swoim, bo znam wady tego drania tak dobrze jak własne. Poczekam, aż osłabnie czujność starca, ujarzmię go i nadam imię. Dotąd pozostawał bezimienny i bardzo to sobie chwalił. Pora skończyć z samowolą. Ten sklerotyk szybko zapomni, kto go naznaczył. Wszyscy odzyskamy radość życia i spokój ducha. Czeka nas tu wiele przyjemności.

Robert z uśmiechem popatrzył na drobną kobietę w garniturze z pomarańczowego jedwabiu.

— Zachowujcie się naturalnie — ciągnęła Bessie. — Wszystko zrobię sama, byle tylko nikt mi nie przeszkadzał. Toffee, gdzie jesteś?

Kot miauknął i otarł się o jedwab rozgrzany ciepłem szczupłego ciała. Popatrzył z uwielbieniem na swoją Panią. Bessie uklękła na ścieżce i zbliżyła ludzką twarz do kociej mordki.

— Dzięki, że we mnie nie zwątpiłeś, braciszku — mruknęła. Podniosła się i dodała: — Wracajmy. Już czas.

Ruszyła przodem, nucąc dziwną melodię. Oddalała się szybko. Kot i Anglicy zostali w tyle.

Bessie stanęła przed kamienną fasadą. Odwróciła się i pomachała im ręką. Nagle zrobiła pół obrotu i rozłożyła ramiona, jakby pragnęła wziąć dom w objęcia. Głosem dźwięcznym i donośnym jak świątynny gong krzyknęła przeciągle jedno słowo:

— Marobet!

Obraz zmętniał i zakolysał się przed oczyma Roberta i Mary. Toffee przypadł do ziemi i stulił uszy. Cała trójka cofnęła się przed falą starczej furii. Pograżony we śnie wiekowy dom obudził się z piętrem na karku. Drobną blondynka o donośnym głosie nadała mu imię! Oczy okien chwyciły słoneczne promienie, by oślepić zuchwałą kobietę.

Bessie stała nieruchomo, wyprężona jak struna. Mruczała. Jej gardło wibrowało, senny, kojący dźwięk wypełniał powietrze. Fale spokoju ogarniały dom. Marobet? Dobra nazwa. Nic nie znaczy. Jest chłodna jak mgła i pełna tajemnic. Jak rozumieć to dziwne słowo: Marobet? Rozmyślenia wyczerpały starego sklerotyka. Zapadł w drzemkę i zapomniał o zemście.

Bessie długo patrzyła na kamienną fasadę. Potem odwróciła się z gracją. Ruszyła ku Anglikom i białemu kotu. Przystanęła w odległości dwudziestu kroków i wskazała ręką willę.

— Oto wasze Marobet — rzekła z powagą.

Przez chwilę trwała w bezruchu. Nagle uniosła ramiona i klasnęła w dłonie. Ruszyła biegiem, odbiła się lekko i nim wylądowała na ścieżce, zmieniła się w kotkę. Pomarańczowy jedwab gasł jak płomień zduszony czarnym dymem. Biała kropka na czole i pędzelek jasnej sierści na ogonku jaśniały niczym światła pozycyjne.

Kotka dotknęła ziemi czterema łapami i ponownie sprężyła się do skoku. Udała, że atakuje wyciągniętą dłoń Roberta, ale musnęła ją tylko łapkami. Wspięła się po rękawie lnianej marynarki, przysiadła na ramieniu mężczyzny i popatrzyła z góry na domowników. Ciemne oblicze Pani kotów rozświetlił uśmiech — miły i chytry, koci i kobiecy zarazem. Bessie miała w sercu czystą radość. Cieszyła się życiem.